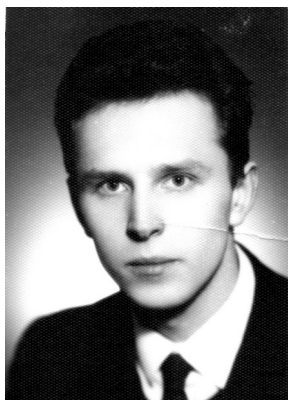


Wspomnienia



Stefan Jaworski
Dr inż. mech. budowy okrętów
absolwent ostatniej klasy łącińskiej 1963 r
Liceum Ogólnokształcącego w Szczytnie.

Szkoła na Kasprowicza i Szczytno w latach 1950-1963 – studia, praca.....

(uzupełniony)

Po przeczytaniu wspomnień o pierwszym dyrektorze liceum profesorze Michale Leśniewskim stwierdziłem, że ze szkołą na ul. Kasprowicza związany byłem od ostatnich lat przedszkola po egzamin maturalny w 1963 roku, a więc przeszło 11 lat. Spróbuję opisać, jaka panowała atmosfera w szkole i mieście i jak te czasy odbierałem i przeżywałem.

Urodziłem się w Skierniewicach w roku 1945, a do Szczytna przyjechałem z rodzicami w roku 1947. Zamieszkaliśmy naprzeciw Fabryki Mebli w domu na ulicy Chrobrego 8. Jak się później dowiedziałem, dom ten został wybudowany przed wojną przez właściciela Fabryki Mebli pana Richarda Andersa dla rodzin osób zatrudnionych w administracji fabryki oraz mistrzów zmianowych. Należy podkreślić, że Pan Anders mimo że był przedsiębiorcą i właścicielem prawie jednej trzeciej miasta (między innymi: dwóch młynów, tartaku, kaszarni, fabryki mebli, itp...), był w mieście osobą powszechnie znaną i poważaną. Dbał o szeregowych pracowników, średni personel techniczny i czego mogliby uczyć się od niego obecni władarze – dbał przede wszystkim o miasto. Postać tego Pana mnie o tyle zaintrygowała i zainteresowała, że z wykształcenia był biologiem i kolekcjonerem nasion egzotycznych drzew, którymi później dość licznie obsadzał wszystkie alejki założonego przez siebie przyległego do obecnej Szkoły Podstawowej nr 3 Parku Miejskiego, który przed wojną był miejscem spotkań i spacerów mieszkańców miasta, koncertów orkiestry wojskowej miejscowych koszar. Niestety, absolutny brak zainteresowania ze strony władz po 1945 roku doprowadził park do dewastacji i z tej wizytówki naszego miasta do dziś pozostało niewiele. Z rodzicami na początku lat 50-tych często spacerowaliśmy po resztkach parku, a jako chłopcy bawiliśmy się tam w chowanego i wojsko.

Ojciec jako geodeta dostał pracę w Urzędzie Wojewódzkim w Olsztynie, mama nie pracowała. Mieszkanie na Chrobrego było duże i ładne. Ściany wyklejone tapetami, z którymi było potem sporo kłopotu. Meble trzeba było kupić od tzw. autochtonów lub być może od szabrowników. Sklepów meblowych wtedy nie było, przemysł jeszcze nie funkcjonował. Na początku, jak daleko sięgam pamięcią, mieszkanie zamienione było w prawdziwe biuro geodezyjne - porozstawiane stoły, porozkładane mapy, pierworysy, niektóre pamiętały nawet czasy carskie, uwijający się geodeci i kręcący w nosie od świeżych odbitek amoniak. Ja również jako dziecko miałem stolik ze swoimi mapami i tak mi zostało do dzisiaj. Praca geodety w terenie w pierwszych latach po wojnie nie należała do bezpiecznych i mając nie całe 5 lat pewne rzeczy już rozumiałem i martwiłem się gdy ojciec z terenu nie wracał na czas, ale tego tematu z wiadomych względów wolę dalej nie rozwijać.

Księgarni w tym czasie jeszcze nie było. Ojciec pierwsze książki przywoził z pracy w Olsztynie. Były to książki polskiej i rosyjskiej literatury klasycznej, Juliusza Verne, Karola Maya. Wśród nich trafiła się również: *Jak hartowała się stal* i *Samotny biały żagiel*. Ostatnia przydała się później na lekturę szkolną. Pierwsze wydania książek - na papierze gazetowym z poszarpanymi brzegami. Później jakoś się poprawiła. Przeczytałem je prawie wszystkie.

Ze względu na duże mieszkanie jeden pokój zarekwirował nam dla tzw. wyższych celów Urząd Meldunkowy i przydzielał sublokatorów. Na szczęście były to uczennice liceum, a później geodeci - podopieczni ojca. Piszę o tym, ponieważ już jako młody chłopak z przedszkola i pierwszych klas szkoły podstawowej brałem udział w życiu kulturalnym placówki. Uczennice zabierały mnie na prawie wszystkie wystawiane przez uczniów przedstawienia. Byłem na kilku przedstawieniach, ale najbardziej utkwiła mi w pamięci adaptacja *Chaty za wsią* Kraszewskiego i *Konrada Wallenroda*, z którego w tym czasie niewiele rozumiałem, ale zapamiętałem tylko białe płaszcze z czarnymi krzyżami.

Z lat dziecięcych pamiętam jeszcze, że duże wrażenie wywarła na mnie jako bardzo małym chłopcu ekshumacja żołnierzy radzieckich pochowanych w 1945 roku po prawej stronie liceum, między budynkiem szkoły a fosą zamku krzyżackiego. Budynek szkoły w czasie wojny i przechodzącego frontu pełnił rolę szpitala, zmarłych żołnierzy najprawdopodobniej w pośpiechu chowano zaraz przy szkole. Cmentarz ten likwidowano, a szczątki przenoszono na cmentarz położony na skraju lasu w pobliżu stadionu. Byłem wtedy z ojcem na spacerze i przechodziliśmy po chodniku wzdłuż liceum, przez przypadek, drugą stroną ulicy. Wyglądało to jak misterium, panowała kompletna cisza. Widziałem pochylone postacie ludzkie nad otwartymi grobami. Poczułem się nieswojo, przez całe ciało przeszył mnie zimny dreszcz, a obraz ten pozostał długo w pamięci. Czulem do tego miejsca respekt i obraz z dzieciństwa wracał nawet gdy byłem już dorosły i z własnymi dziećmi przechodziłem wzdłuż fosy do jeziora. Jak byłem w szkole podstawowej na cmentarzu w pobliżu stadionu odbywały się co jakiś czas „Apele Poległych”, w których uczestniczyłem z drużyną harcerską lub szkołą.

Do Szkoły Podstawowej nr 1 na ul. Kasprowicza zacząłem uczęszczać w roku 1952. Mieściła się na parterze, Liceum Ogólnokształcące - na piętrze. Okres tych siedmiu lat w szkole przebiegł bez większych przygód, poza pierwszą klasą, gdy stale - czy był powód czy nie - siedzieliśmy po lekcjach. Takie widać było upodobanie naszej „wychowawczynie”. Lekcje wówczas zaczynały się pacierzem i kończyły pacierzem, z tym że temu ostatniemu towarzyszył płacz dzieci zostających po lekcjach. Myślałem, że pani ta po mojej klasie skończyła z nauczaniem, ale jeden z uczestników Zjazdu z okazji 70 lecia LO dziękując mi za napisane wspomnienia wymienił jej nazwisko, dodając że uczyła następnie w trójce z paskudną opinią wśród uczniów. Zaprzeczeniem pani z pierwszej klasy była natomiast pani w drugiej klasie, dzięki której zatarte zostały złe wspomnienia z klasy pierwszej. W przeciwieństwie do poprzedniej była osobą miłą, ciepłą i lubiącą dzieci – klasę ukończyłem z wyróżnieniem, czym byłem bardzo zaskoczony mając jeszcze złe wspomnienia z klasy poprzedniej.

Poza szkołą bawiliśmy się w wojsko walcząc drewnianymi i nie tylko – mieczami na terenie byłego parku, gruzach zburzonych domów lub dziedzińcu zamku krzyżackiego. Był również epizod ze zbieraniem naboń w lesie, ale szybko z nim skończyliśmy - po utracie palców przez kolegę. Pamiętam jeszcze dwie nieciekawe plagi, które w szkole podstawowej opanowały uczniów. W pewnym okresie uczniowie wykupili wszystkie prezerwatywy w mieście (koszt paczki 3,15 - zapamiętałem cenę, ponieważ w tym wieku wstydziliśmy się mówić pani w kiosku - poproszę prezerwatywę - a kładło się 3,15 na ladzie i pani wiedziała o co chodzi). Napełnialiśmy je wodą i podrzucaliśmy do góry. Takie bomby wodne roztrzaskiwały się z hukiem o ziemię. Innym razem ogarnęła wszystkich kolejna plaga. Wykonane z kartek z zeszytu lub książki i wypełnione powietrzem koperty, po położeniu na podłodze i uderzeniu butem rozrywały się z hukiem. Komu udało się głośniej tym lepiej. Przy okazji ucierpiała niejedna książka, a najbardziej biedna była pani woźna, która musiała sprzątać zaśmiecone korytarze. Zabawa ta jak tornado trwała krótko, jak szybko przyszła, tak szybko przeszła. Ale czym miała na przerwie zająć się młodzież. Chodzenie w kółko po korytarzu parami było nudne. Telefonów komórkowych i tabletów nie było. Jak była ładna pogoda można było na boisku pograć w dwa ognie, palanta, dziewczęta w klasy. Czas na przerwie umijaliśmy sobie kupowanymi w pobliskiej piekarni, przy Remizie Strażackiej, po 50 gr bułkami. Okna ćwiczebnej wieży strażackiej wychodziły na boisko szkolne. Co roku odbywały się zawody strażackie i wyczyny strażaków obserwowaliśmy na boisku szkolnym.

Jednak największe wrażenie, przynajmniej na mnie robiły w lecie przetaczające się przez miasto tabory cygańskie w wykładanych boazerią i ozdobionych złotem wozach. Nie wszystkie były oczywiście takie wspaniałe, najczęściej na końcu taboru jechały skromne wozy drabiniaste wypełnione brudną pościelą. Obozem rozkładali się w pobliżu stadionu, gdzie palili ogniska, a my jako chłopcy obserwowaliśmy ich tańce i śpiew.

Podobnie co roku - jak odbywał się nabór do wojska - zgrają chłopców asystowaliśmy poborowym, odprowadzanym na stację orkiestrą dętą miejscowych koszar. W późniejszym czasie przekształcono je, po opuszczeniu przez wojsko, w Szkołę Milicyjną. Imponowały mi wówczas mundury młodych chłopców grających w orkiestrze wojskowej. W okolicach Szczytna prawdopodobnie były poligony wojskowe, które w lecie odwiedzały zespoły muzyczne Wojska Polskiego. Mój ojciec całe życie dojeżdżał do pracy do

Olsztyna, wracał o wpół do piątej po południu. Czekając na niego na stacji nie raz udało mi się wysłuchać spontanicznego koncertu wojskowego. Członkowie zespołu śpiewali, aby skrócić sobie czas oczekiwania na pociąg. W repertuarze mieli nie tylko pieśni wojskowe, ale i muzykę operową, operetkową z Barona Cygańskiego, Hrabiny Maricy, Wesołej Wdówki itp. Takie plenerowe koncerty prawdopodobnie „spaczyły” mój gust muzyczny, ponieważ pod koniec szkoły podstawowej moimi idolami były nie zespoły młodzieżowe, a Bogna Sokorska, Bernard Ładysz, Witold Tarasewicz, Bogdan Paprocki i rozpoczynający karierę Jerzy Połomski lub Sława Przybylska. Trudno się dziwić, ale w tym czasie muzyki słuchało się z kołchoźnika wiszącego na ścianie przekazującego I Program Polskiego Radia przez radiowęzeł szczycieński. Nieliczne polskie radia „Pionier”(producent Diora 1949 r) dopiero zaczęły pojawiać się, a telewizja zaczynała raczkować. Dla wyjaśnienia: w październiku 1952 r wyemitowano po wojnie po raz pierwszy dla terenu Warszawy program telewizyjny (dzisiejsza TVP1), pierwszy telewizor „Wisła” na licencji radzieckiej w Polsce wyprodukowano w 1955 r, pierwszy produkcji polskiej „Belweder” w 1957, a od rozpoczęcia produkcji do rozpowszechnienia upłynęło trochę czasu. Pamiętam jak mój wujek namienny słuchacz Wolnej Europy kupił *Pionierka* i wywoził dość solidną furmanką kupione wcześniej od szabrowników poniemieckie radio. Na obecne czasy byłby to prawdziwy cud techniki. Radio miało ponad dwa metry długości, z pół metra szerokości, najciekawsze były potężne cewki i lampy o średnicy 10 cm i wysokości około 60 cm. Podobne do tych na stacji, ale już profesjonalne koncerty od czasu do czasu odbywały się na dziedzińcu gospodarczej części zamku krzyżackiego, w wykonaniu artystycznych zespołów Wojska Polskiego i Armii Radzieckiej. Głos wykonawców śpiewających Kalinkę lub Słowiki był tak donośny, że słyszany był u nas na Chrobrego. Obecnie nie na miejscu jest się do tego przyznawać, ale sentyment do kunsztu *Chóru Aleksandrowa* pozostał mi do dzisiaj.

Kilka słów można wspomnieć jeszcze o kinie. Budynek kina mieścił się w pobliżu poczty w odremontowanej po spaleniu sali gimnastycznej, za ruinami późniejszej Szkoły Pedagogicznej. Jako chłopcy oglądaliśmy pierwsze filmy siedząc na podłodze. Z filmów dziecięcych pamiętam: *Konika Garbuska*, a z poważniejszych *Piętnastoletniego Kapitana* Juliusza Verne, lub film *Załoga* z 1951 r o życiu na Darze Pomorza. Ogrom rozwiniętych żagli robił na mnie duże wrażenie. Z filmów lotniczych *Pierwszy Start* z 1951 r o obozie szybowcowym, nawiasem mówiąc pierwszy film Mikulskiego, a ze względu na użycie po raz pierwszy w polskiej kinematografii błony kolorowej - *Przygoda na Mariensztacie* z 1953 r. Obecnie filmy te mogą razić narracją i propagandą, ale w tym czasie na inne rzeczy zwracałem uwagę. Interesował mnie sam okręt z rozwiniętymi żaglami czy szybowiec w locie. Sprawy ideologiczne były mi zupełnie obce. W późniejszym okresie dopiero w centrum miasta wybudowano Kino Jurand.

Tyle dla ducha, a głównym moim zainteresowaniem technicznym w tym czasie była akwarystyka, modelarstwo szkatuńskie i żeglarstwo. Z wydawnictw: *Skrzydłata Polska*, *Morze*, *Młody Technik* i towarzyszący mu *Młody Technik dla Dzieci*, od 1955 r *Modelarz*, *Mały Modelarz* a od 1959 r czasopismo *Akwarium*. Akwarystyką zajmowałem się od najwcześniejszych lat szkoły podstawowej po dzień dzisiejszy. W liceum, w gabinecie biologicznym założyłem akwarium i opiekowałem się nim przez dłuższy czas do momentu, w którym tzw „miłośnicy przyrody” z sąsiedniej klasy nakarmili rybki atramentem. Po studiach pracując w Polskiej Akademii Nauk przez dłuższy czas pracowałem społecznie w Zarządzie Głównym Polskiego Związku Akwarystów, a będąc przez wiele lat przewodniczącym Klubu Miłośników Roślin Wodnych dysponowałem największą w Polsce amatorską kolekcją roślin akwariowych. Akwarium moje było kiedyś pokazywane nawet w Dzienniku Telewizyjnym. Organizowaliśmy wtedy wystawy akwarystyczne i sympozja w całej Polsce, utrzymując również stałą współpracę z Działem Roślin Wodnych Ogrodu Botanicznego we Wrocławiu i akwarystami zagranicznymi. Prowadziłem również wtedy dział *ABC-Roślin Wodnych* w czasopiśmie *AKWARIUM*.

Materiałów modelarskich w takim mieście jak Szczytno nie było, dlatego jeszcze w szkole podstawowej pierwsze modele żaglowe wykonywałem z kolegą Wacławem Zduńczykiem z kory i tektury, a większe z własnym napędem z deseczek ze skrzynek po marmoladzie lub rybach wędzonych. Śrubki napędowe wykonane były z blachy z puszki po konserwie, a napęd z gumki do majtek. Z końcem 1954 roku powołano do życia w Szczytnie Powiatowy Dom Kultury – obecnie mieści się tam pogotowie, a niedługo po tym powstała tam pierwsza modelarnia. Z tego co pamiętam pierwszą kierowniczką lub dyrektorką Powiatowego Domu Kultury w Szczytnie była w tym czasie pani Zofia Kaleja Polakowska, nauczycielka LO na Kasprowicza w latach 1947-1948. Jej mąż Pan Polakowski, pasjonat żeglarstwa był w tym czasie pierwszym w Szczytnie instruktorem modelarstwa szkatuńskiego. Zajęcia zaczynaliśmy pod jego kierunkiem w piwnicy PDK przekształcając ją w pracownię modelarską. Pierwsze kadłuby modeli żaglowych wykonywane były na wymodelowanych przez nas kopytach glinianych oklejanych papierem gazetowym, następnie przeszliśmy na modele kartonowe z Małego Modelarza, aby w końcu przejść na najwyższy punkt wtajemniczenia korzystanie z planów modelarskich. Nie pamiętam, czy

modelarnia oficjalnie była w strukturze administracyjnej PDK, czy tylko PDK używało lokum sekcji modelarskiej Klubu Morskiego LPŻ w Szczytnie, jak wynikałoby z dedykacji na książce którą od Pana Polakowskiego otrzymałem [patrz zdjęcie w Załączniku] jest to chyba obecnie mało istotne. My jako chłopcy czuliśmy wtedy silną więź z Domem Kultury i prawdę mówiąc dopiero teraz przypominałem sobie o tej książce i zwróciłem uwagę na ten zapis. Czy pan Polakowski działacz Klubu Morskiego Ligi Przyjaciół Żołnierza modelarnię prowadził na etacie czy społecznie nie wiem, ale gdy objął oficjalnie kierownictwo bazy żeglarskiej Klubu Morskiego LPŻ na końcu jeziora modelarnię przekazał plastykowi Januszowi Kokorynowi. Było to na początku lat sześćdziesiątych. Pan Janusz zatrudniony w 1958 roku w PDK jako plastyk na początku zajmował się przede wszystkim obsługą plastyczną wystawianych sztuk teatralnych i zaglądał oczywiście do nas do modelarni. Przejmując po Panu Polakowskim modelarnię od początku miał ułatwione zadanie ponieważ mając odpowiednie przygotowanie, a przede wszystkim niezwykle uzdolnienia plastyczne, za które go podziwiałem, mógł ją poprowadzić na znacznie wyższym poziomie. Zmieniły się również czasy. W tym czasie już zaczęły ukazywać się czasopisma modelarskie: *Modelarz*, *Mały Modelarz*, *na światłokopiach plany modelarskie* polskich okrętów wojennych i samolotów. W hurtowni LPŻ można już było zaopatrzyć się w podstawowe materiały modelarskie, jak: sklejka, listewki, kleje, papier japoński itp. Inspiracją dla mnie były otrzymane od Pana Polakowskiego plany modelarskie polskiego niszczyciela *GROM*. Wykonany przeze mnie w domu wg tych planów model, którego budowę kończyłem już w liceum, był wystawiany na wystawie w Olsztynie.[zdjęcie w Załączniku]. W modelarni zdobyłem III,II a w końcu I klasę modelarza skutnika, jak również ukończyłem organizowany przez Pana Polakowskiego kurs żeglarski ze stopniem żeglarza. Nawiasem pisząc, z tego co pamiętam wykłady i egzamin odbywały się w sali wykładowej LPŻ na parterze domu w którym mieszkała rodzina Krzysztofa Klenczona. Również wspólnie z panami Polakowskim i Kokorynem byliśmy z kolegami w ramach PDK na wystawie modelarskiej w Muzeum Techniki Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. Z panami Polakowskim i Kokorynem byłem również w Mikołajkach lub Rucianem po szalupę okrętową do bazy żeglarskiej LPŻ. Po wyremontowaniu szalupa pływała po jeziorze pod ożaglowaniem gaflowym.

Jak dalej pod kierunkiem Pana Janusza funkcjonowała modelarnia nie wiem. Z tego co czytałem Pan Janusz rozwinął swoje artystyczne skrzydła, a prace Jego znane są nie tylko w kraju. W latach 1978 - 1996 zajął się również dydaktyką ucząc wychowania plastycznego już w nowym gmachu LO Szczytno pozostawiając tam również swój piękny dorobek artystyczny w postaci grafik i obrazu patrona liceum Jana III Sobieskiego, a niedawno obchodził swój benefis artystyczny i 80 – tą rocznicę urodzin.

Wakacje w szkole podstawowej przeważnie spędzałem u dziadków na Rawce pod Skierniewicami (obecnie dzielnica Skierniewic). Była to w tym czasie miejscowość letniskowa Warszawiaków. Przyjeżdżali tu na wypoczynek całymi rodzinami. Jadąc na wakacje wstępowałem po drodze w Warszawie do Składnicy Harcerskiej i kupowałem zestaw szybowca. W pierwsze dni po przyjeździe robiłem model, który z chłopcami z Warszawy i miejscowymi, w przerwach między kąpielami w rzece Rawce, uganiając się po miejscowych rzyskach puszczaliśmy do końca wakacji. Niejeden z tych chłopców pozostał później miłośnikiem lotnictwa. Dwa razy w tym czasie mogłem zaobserwować przygodne lądowanie prawdziwych szybowców w polu. Z tego co pamiętam były to *MUCHY* bardzo popularne w tym czasie w aeroklubach szybowce treningowo-wyczynowe. Asystowaliśmy pilotów do momentu przylotu „Kukuruźnika” (dwupłatowiec produkcji radzieckiej, lub CSS 13 polskiej) i odholowania szybowców.

O koledze Wacławie Zduńczyku muszę napisać kilka słów. Był on niezwykle uzdolniony plastycznie, ale również dużą jego pasją była siatkówka, być może za przyczyną jego brata, który doskonale grał w siatkę i o ile dobrze wiem grał w późniejszym okresie w kadrze olimpijskiej. Obecnie wg relacji również jednego z uczestników Zjazdu mieszka w Niemczech. Czy kończył liceum nie pamiętam, ale był to okres gdy kończył liceum Krzysztof Klenczon. W liceum na wysokim poziomie był wtedy sport i koledzy z klasy Klenczona i sąsiednich namiętnie w tym czasie grali w siatkę. Na placu obok Komendy Milicyjnej, popołudniami z Wackiem Zduńczykiem kibicowaliśmy im prawie codziennie. Czasami udawało mu się do nich dołączyć, ale był za niski, aby grać stale. Klenczona z tego okresu zapamiętałem, ponieważ mieszkał blisko nas (dom Klenczona na rogu ulic Jana Lipperta i 3Maja, a nasz jakieś 200-300 m dalej w kierunku fabryki mebli na rogu 3Maja i Bolesława Chrobrego), nasze mamy czasami poplotkowały, a znały się ponieważ z Jego siostrą chodziłem w podstawówce do tej samej klasy.

Jednym z ostatnich epizodów w Szkole Podstawowej na Kasprówicza był mój udział w spektaklu *Balladyna Słowackiego* wystawianym przez siódmą klasę. Elżbieta Galczenko późniejsza absolwentka 1963r liceum grała Alinę ja Kirkora, pozostałej obsady nie pamiętam. Zdolności aktorskich żadnych nie miałem ani parcia na występy publiczne, a rolę przydzielono mi zaocznie z urzędu bo byłem w tym czasie chory i swojej kwestii musiałem uczyć się w łóżku. Z tego względu w próbach również nie brałem udziału i do spektaklu przystępowałem z marszu. Z występu pamiętam tylko jedno jak sala krzyczała głośnie-j-głośnie-j. Ale

wracając do choroby. Najpopularniejszym lekiem w tym czasie był olej rycynowy, a na wzmocnienie organizmu tran wielorybi. Czy przyjmowałem jakieś inne leki i czy oprócz dentysty chodziłem do innych lekarzy nie pamiętam. Lato wówczas było latem, a zima zimą z temperaturami bardzo często poniżej 20 stopni Celsjusza i z tego powodu również odwoływanymi lekcjami w szkole – byliśmy więc zahartowani i oprócz dolegliwości żołądkowych nic nam najczęściej nie było. Olej rycynowy był panaceum na wszystko, a było to paskudztwo straszne i jak sobie przypominam jeszcze mną trzęsie. Byłem o tyle w złym położeniu, że moja ciotka Stefania Wiśniewska, jako położna odbierała mnie w Skierniewicach na świat, była w tym czasie pielęgniarką i położną Kolejowego Ośrodka Zdrowia i do tych specyfików miała dostęp. Unrowski tran przynosiła w litrowych butelkach i tym nas i swoje dzieci katowała – dawka dzienna jedna stołowa łyżka. Szczęśliwie są obecnie dzieciaki, że jeśli muszą tykać tran to tylko w kapsułkach.

Do liceum obowiązywały w tym czasie egzaminy wstępne. Ilość miejsc była ograniczona. Byłem dobry, ale strasznie nerwowo je przeżyłem, ponieważ do ustnego podchodziłem jako jeden z ostatnich i wydawało mi się, że już wszystkie miejsca zostały zajęte. Następnym problemem był wybór klasy, angielska czy łacińska. Skłaniałem się do angielskiej ponieważ wiedziałem, że ten język będzie mi potrzebny, jednak mama, która uczyła się greki i łaciny, poza względami o których już nie będę wspominał, skłoniła mnie jednak, abym poszedł na łacinę i tak wylądowałem w klasie łacińskiej. Byłem matematykiem i do łaciny nie mogłem się przekonać - dlatego do końca szkoły szła mi słabo.

Skład klasy był zaskakujący - tylko czterech chłopaków pozostałe osoby to dziewczęta. Zainteresowania kolegów skrajnie różne. Kolega Otap każdą chwilę spędzał w kościele i później został księdzem. Witold Helman, ale to już w okresie późniejszym, jak przychodził do mnie do domu, przede wszystkim w sprawie zadań domowych z matematyki, to najczęściej nie sam a z partnerką, którą przedstawiał mi jako swoją siostrę. Do matury tych sióstr się trochę zebrało. W klasie ósmej i chyba dziewiątej był jeszcze Wiesiek Tomala, partner prof. Budzyńskiego w szachy. Przeszedł następnie na wieczorówkę i zdawał maturę rok później. W klasie dziesiątej zastąpił go Witold Hiller - humanista, erudyta, a przede wszystkim działacz harcerski.

Moje zainteresowania w tym czasie były w zasadzie ustalone, a więc akwarystyka, modelarstwo, żeglarstwo, pod koniec klasy dziewiątej doszło szybownictwo, więc z kolegami z klasy nie miałem wspólnego języka, a zajęć poza nauką i tak miałem za dużo. Utrzymywałem za to kontakt z niektórymi kolegami z klasy angielskiej.

Nauczyciele, których pamiętam:

prof. Michał Mazur	dyrektor szkoły, biologia,
prof. Albin Budzyński	wychowawca klasy, język łaciński i chemia,
prof. Władysław Sondej	j. polski,
prof. Edward Urbański	geografia - do 1960r,
Prof. Jerzy Wojciechowski	geografia - od 1960r,
prof. Adolf Gałuszko	fizyka, astronomia (klasa 8,9),
prof. Stanisław Kaniecki	fizyka, astronomia (klasa 10, 11)
prof. Wilhelm Szwerecki	wych. fizyczne,
Prof. Kasprowicz Roman	j. angielski,
prof. Telesfor Kocięcki	matematyka,
prof. Mieczysław Matelski	historia, PW,
prof. Jeżewska Lidia	wych. fizyczne dziewcząt,
prof. Nina Czerniawska	j. rosyjski

Na samym początku prof. Budzyński wszystkich przesłuchiwał i skierował do chóru szkolnego, próby były po lekcjach raz w tygodniu, po roku udało mi się z nich wykręcić.

Jeśli chodzi o życie pozalekcyjne szkoły to część osób brała udział w próbach wspomnianego już chóru szkolnego, uczniowie z zacięciem sportowym w zajęciach SKS (Szkolne Koło Sportowe), a szczególnie wiosną na remontach w szkolnej bazie żeglarskiej nad jeziorem. W lecie niektórzy z nas uczestniczyli w organizowanych przez prof. Szwereckiego wypoczynkowych obozach żeglarskich na

sąsiadujących ze Szczytnem jeziorach, a ja mając uzyskany wcześniej stopień żeglarza i pewne doświadczenie w pływaniu uczyłem kolegów żeglarstwa. Od czasu do czasu był wyjazd do Teatru Jaracza w Olsztynie. Szkołę, ale to już w czasie lekcji odwiedzali artyści Filharmonii Narodowej i różnego rodzaju recytatorzy. W wakacje po klasie dziesiątej zostaliśmy umundurowani i skoszarowani na Obozie Przysposobienia Wojskowego na terenie obecnej Szkoły Pedagogicznej w pobliżu Poczty. Zaliczyliśmy również sadzenie lasu i wykopki, a w klasie maturalnej byliśmy na wycieczce w Gdyni i Gdańsku.

Konfliktów na bazie nauczyciel – uczeń, jak to słyszy się obecnie, sobie nie przypominam. Były drobne epizody, ale trudno je nazwać konfliktami. Profesor Budzyński co prawda gonił dziewczęta za sztywne halki i cienkie nylonowe pończochy, ale z tego co słyszałem ten problem w tym czasie miały dziewczęta w całym kraju. Z kolei pod profesorem Kocięckim z matematyki w naszej klasie rozpadło się krzesło. Profesor wszedł do klasy, wziął krzesło, siadł na nim i buchnął się do tyłu. Krzesło nie było najnowszej marki, klejenie połączeń puściło i profesor wylądował na ziemi. Jak to bywa w takiej sytuacji klasa najpierw buchnęła śmiechem – profesor też, następnie zamilkła, nastąpiła konsternacja i zaczęło się dochodzenie. Skąd wzięło się krzesło, kto je postawił, co robił dyżurny klasy itp. Z tego co pamiętam dochodzenie nic nie wykazało i z czasem wszystko rozeszło się po kościach. Profesor był lubiany i do tej pory jestem święcie przekonany, że nikt z uczniów tego złośliwie nie zrobił, a że był to tylko nieszczęśliwy zbieg okoliczności.

Zainteresowanie szybownictwem przyszło nagle i nie związane było ze szkołą. Mama z biblioteki przyniosła mi książkę Janusza Meissnera *Trzy diamenty*. Książka zafascynowała mnie tak bardzo, że nawiązałem kontakt z Aeroklubem Warmińskim w Olsztynie. Po kilku tygodniach byłem na badaniach lotniczych w Warszawie a w lecie na tzw lotnisku Hitlera w Karolewie pod Kętrzyńem siedziałem już za sterami szybowca. Miałem szczęście, bo trafiłem do grupy słynnego asa szybownictwa i lotnictwa polskiego kapitana Tadeusza Góry. Znany był już przed wojną z wykonanego w 1938 r rekordowego przelotu otwartego 578,9 km na trasie Bezmiechowa - Wilno, za który jako pierwszy z pilotów na świecie dostał medal Lilienthala. Wojnę spędził w Anglii, gdzie latał w Dywizjonie 316. Po wojnie wrócił do kraju i szybownictwa jako instruktor szybowcowy, a po politycznej odwilży wstąpił do wojskowego lotnictwa polskiego. Był najwspanialszą osobą, z którą się w życiu spotkałem, dlatego nie mogłem o tym nie napisać. Jego śmierć w 2010 roku w stopniu generała brygady w wieku prawie 92 lat zrobiła na mnie przytłaczające wrażenie. Epizod mój z szybownictwem, czego do tej pory żałuję trwał krótko. Po uzyskaniu w 1961 r III klasy pilota szybowcowego w następnym sezonie padłem na badaniach lotniczych w Dęblinie. Badania ukierunkowane były pod kątem przydatności do lotnictwa wojskowego i były tuż po Świętach Wielkanocnych. Jechałem na nie tzw. *Strzałą Północy* czyli pociągami Gdynia - Lublin. Całą drogę stałem na korytarzu i potwornie zmarzłem. Mimo że badania były następnego dnia - jeszcze mną trzęsło więc mój kardiogram wypadł kiepsko, lekarz podejrzewał u mnie nawet wadę serca i skończyło się latanie. Lekarze wojskowi są dosadni więc dobił mnie jeszcze lekarz podsumowujący badania i wystawiający zaświadczenie. Objechał mnie w stylu, cytuję: „*Zamiast spokojnie przygotować się do badań to przez całe święta pijąc wódkę piep....leś się z dziewczynami i oto są skutki*”, a ja wtedy jako młody chłopak z dziesiątej klasy nie znałem nawet smaku piwa, nie mówiąc o innych sprawach. Będąc już na studiach w Gdańsku z aeroklubu do mojego ojca dzwonili, że mogę iść na nowe badania i wznowić rekreacyjnie latanie, ale niesmak po incydencie w Dęblinie pozostał, nie zrobiłem tego i na pewno popełniłem błąd.

W liceum dostałem dobre przygotowanie, szczególnie z matematyki, fizyki i chemii. Maturę 1963 r zdałem bez problemów, nawet jako jedyny zwolniony byłem z ustnego z matematyki. Egzamin na Wydział Budowy Okrętów Politechniki Gdańskiej poszedł mi również dobrze i razem z kol. Kazimierzem Gryko, który rok wcześniej zdawał maturę dostaliśmy się na studia. Dobre przygotowanie z chemii w liceum przez prof. Budzyńskiego na pierwszym roku zaowocowało i jako jedyny z roku na egzaminie z chemii dostałem piątkę z plusem. Później nie było już tak wspaniale, ale studia udało mi się skończyć bez powtarzania roku i egzaminów komisyjnych.

Semestr dyplomowy również z kol. Gryko spędziliśmy w Leningradzkim Instytucie Budowy Okrętów w Leningradzie (obecnie Petersburg). Pracę dyplomową z jednostek szybkich, tzw ekranoplanów broniłem 26 grudnia 1969 r, a więc w drugi dzień naszych Świąt Bożego Narodzenia. Dla wyjaśnienia ekranoplany były to samoloty nisko lecące nad wodą i wykorzystujące efekt dynamicznej poduszki powietrznej. Zaprojektowałem, w naszych warunkach co prawda nierealny, jeśli chodzi o możliwości wykonawcze, rozwijający 100 węzłów (~ 185 km/godz) prom pasażerski na trasę Świnoujście - Ystad. Jednak nie była to w pełni futurologia ponieważ wiele lat później na Discovery oglądałem te jednostki eksploatowane przez Radziecką Marynarkę Wojenną w przeznaczeniu wojskowym. Jakże to były w wydaniu radzieckim wynaturzone mordercze monstra i ile ich w następnych latach Rosjanie wybudowali, można przekonać się wrzucając do internetu hasło „ekranoplan”.

Semestr dyplomowy w Leningradzie o tyle był również ciekawy, że przy okazji udało nam się zwiedzić nie tylko Leningrad i okolice (Carskie Sioło, Peterhof itp.), ale również Moskwę, Rygę i Wołgograd, a podczas wakacyjnej praktyki pływającej po Morzu Azowskim i Czarnym Rostów nad Donem, Kercz, Żdanow (obecnie Mariupol), Jałtę, Odessę i Noworosyjsk na Kaukazie. Po obronie otrzymałem dyplom ukończenia Leningradzkiego Instytutu Budowy Okrętów, a po powrocie do kraju dyplom ukończenia Wydziału Budowy Okrętów Politechniki Gdańskiej.

Na studiach nie zajmowałem się tylko nauką. Działiałem czynnie w kole naukowym studentów okrętowych *KORAB* prowadząc między innymi wakacyjne obozy naukowe w Ośrodku Badań Modelowych Instytutu Okrętowego w Iławie. A z ciekawostek - byłem założycielem na Politechnice i pierwszym prezesem Akademickiego Klubu Tańca Towarzyskiego PG.

W roku 1970, po powrocie do kraju i odebraniu dyplomów próbowałem podjąć pracę w Instytucie Okrętowym Politechniki Gdańskiej. Obowiązywały blokady etatów, dlatego profesor Lech Kobyliński zaproponował mi pójść na otwierane w tym czasie w Instytucie Okrętowym Studia Doktoranckie. Po trzech latach studiów i dalej obowiązującej na politechnice blokadzie etatów otrzymałem propozycję pracy ze ściśle współpracującym z Instytutem Okrętowym - Zakładzie Pędników Okrętowych Instytutu Maszyn Przepływowych Polskiej Akademii Nauk. Po kolejnych trzech latach pracy w roku 1976 obroniłem doktorat. Praca znowu jeśli chodziło o realia krajowe dotyczyła futurystycznych jednostek szybkich, tzn. katamaranów półzanurzonych SWATH, o małej wodnicy pływania, z kadłubem ładunkowym umieszczonym nad powierzchnią wody. Ze światowego punktu widzenia nie była to całkiem futurologia, ponieważ kilkanaście lat później jednostka taka, lecz wybudowana w stocznich azjatyckich, przez krótki czas była eksploatowana przez Polską Żeglugę na trasie Świnoujście – Ystad i miałem okazję ją zwiedzić w Gdańskiej Stoczni Remontowej - pracując już w Centrum Techniki Okrętowej. Obecnie kilka jednostek patrolowych tego typu zamówiła Łotwa w stoczni niemieckiej.

W roku 1992 na zasadzie porozumienia stron opuściłem Polską Akademię Nauk i podjąłem pracę w Ośrodku Hydromechaniki Okrętu Centrum Techniki Okrętowej. Była to naturalna kolej rzeczy, ponieważ pracując w Zakładzie Pędników Okrętowych PAN ściśle współpracowałem z OHO CTO i odwrotnie. Pracując w PAN-ie brałem udział w szeregu konferencjach okrętowych w kraju i za granicą np. Rostoku i Warnie. Między innymi z powodu pobytu na konferencji w Bułgarskim Instytucie Hydrodynamiki Okrętu w Warnie (odpowiednik polskiego OHO CTO) nie mogłem wziąć udziału, mimo namawiań mamy, w jednym ze zjazdów liceum. Mama przekazała mi tylko potem kilka plotek z tego zjazdu, a później z następnego już publikację *LO im. JANA III SOBIESKIEGO W SZCZYTNIE (1945-1995)*.

Miałym akcentem zakończenia mojej pracy w CTO był mój udział jako przedstawiciela CTO w delegacji Ministerstwa Handlu Zagranicznego na konferencji w Wietnamie. Dzięki temu udało mi się zwiedzić Hanoi, miasto portowe Haiphong, gdzie miałem referat, a również perłę natury, gdzie rozgrywała się akcja jednego z Bondów, a mianowicie zatokę Ha Long. W życiu o tyle miałem szczęście, że praca moja była w zasadzie kontynuacją zainteresowań z dzieciństwa, ponieważ w oparciu o badania modelowe na wodzie spokojnej i fali kilkumetrowych modeli statków, z własnym napędem lub bez, opracowywaliśmy prognozy napędowe statków rzeczywistych. Z dniem 1 stycznia 2009 przeszedłem na emeryturę i w zasadzie cały czas obecnie pochłania mi ogród, akwarystyka, modelarstwo i wnuki. Mam obecnie mniej czasu niż gdy pracowałem zawodowo.

Za bardzo się rozpisalem, ale na tle przejść osobistych chciałem przedstawić atmosferę tamtych lat i nie były to takie *czarne czasy* jak niektórzy tendencyjni publicyści i politycy usiłują obecnie nam wmówić. Jak i obecnie, sprawy ideologiczne szły jednym torem, a życie drugim. Ludzie bawili się jak tylko nadarzała się okazja. Nie wiem jak w innych rejonach miasta, ale w lecie na placyku pod moimi oknami (obecnie teren zabudowany) pracownicy fabryki mebli rozkładali ogrodzony gałęziami drzew, jak na wiejskim weselu „parkiet”, grała muzyka i zabawa była na całego. Jako mali chłopcy siedzieliśmy na ogrodzeniu i obserwowaliśmy jak towarzystwo się bawi. W Szczycinie rozwijał się przemysł. Pracowała Roszarnia, Fabryka Mebli, Browar, później Unitra-Unima, rozwijało się szkolnictwo. Meble kuchenne ze Szczycina widziałem w sklepach w Leningradzie, NRD i Bułgarii. Członkiem partii nie byłem, ani żadnej partyjnej organizacji młodzieżowej. Ojciec również, mimo że był bezpartyjny był najdłużej urzędującym w Polsce Dyrektorem Wojewódzkiego Biura Geodezji w Olsztynie. Nawiasem mówiąc walczył przyczynił się z prof. Hopferem, bratem znanego sprawozdawcy sportowego do powstania na WSR w Olsztynie Wydziału Geodezji. Kilkakrotnie w tej sprawie jeździłem z nim do Warszawy. Ojciec do Ministerstwa Szkolnictwa i Ministerstwa Rolnictwa, ja do Składnicy Harcerskiej po kolejne zestawy modelarskie i na Nowy Świat do sklepu akwarystycznego. Mama jak się później dowiedziałem działaczka AK w Lublinie otrzymała za działalność konspiracyjną stopień podporucznika. Teraz wiem dlaczego jedną z pierwszych książek którą przeczytałem były *Kamienie na szaniec - Aleksandra Kamińskiego*. Jak widać po mnie młodzież bez

przeszkód mogła rozwijać swoje zainteresowania. Nie były potrzebne do tego żadne środki finansowe. Modelarnia, kurs szybowcowy, żeglarski, koszty przejazdu na badania lotnicze - same badania i inne zainteresowania były za darmo. Kto teraz ma dzieci lub wnuki wie ile obecnie każde pozalekcyjne zajęcie ucznia kosztuje. Wtedy nie płać za to młodzież - płać społeczeństwo, ale chyba się opłacało. W szkole na Kasprowiczka zarówno podstawowej jak średniej panowała tolerancja. Mimo, że nie chodziłem na pochody 1-majowe, a obserwowałem je z zewnątrz, nie miałem z tego tytułu nieprzyjemności. Dla przykładu po śmierci Bieruta w czasie gry w palanta podobno powiedziałem, że Stalin był zdrajcą. Był to rok 1956 i pierwsze oceny okresu stalinowskiego. Nie pamiętam czy tak powiedziałem, ale doniesiono o tym do dyrektora Mazura. Dyrektor wezwał mnie do siebie, ale nie do gabinetu a spotkaliśmy się na boisku szkolnym. Miałem wtedy 11 lat i nie pamiętam dokładnie przebiegu rozmowy, ale sprawę załagodził nie wzywając do szkoły nawet rodziców. Miałem do niego z tego powodu duży sentyment, ponieważ gdyby poszedł po tzw linii, a zaczynał wtedy dyrektorowanie i gdyby chciał to mógłby się wykazać, nie ważne czy powiedziałem czy nie, mogłoby się to dla mnie źle skończyć. Później w liceum ze względu na moje zainteresowania biologiczne współpracowaliśmy ze sobą wymieniając się książkami akwarystycznymi i czasopismem *Akwarium*. Nikt w szkole nikogo do niczego nie zmuszał - no z wyjątkiem chyba tylko tego, że do kina mogliśmy chodzić tylko na filmy, na które nam pozwolono i tylko w dniu, w którym nam pozwolono. Z tego powodu miałem zabawny incydent z filmem *Historia żółtej ciżemki*, ale za dużo tych spraw osobistych, ponieważ z jednego epizodu wypływa następny i można by tak bez końca. Kto wie, być może miało to i dobry cel, może wyrobiło w nas poczucie odpowiedzialności i obowiązku. W każdym bądź razie przygotowanie teoretyczne i nie tylko dostaliśmy w szkole dobre, dzięki temu poradziłyśmy sobie w życiu.

Jeśli chodzi o moją rodzinę to Liceum Ogólnokształcące ukończyli:

w 1967 r Jaworski Jerzy – brat,

w 1975 r Jaworska Barbara – siostra.

a w latach następnych nowe pokolenie:

w 2000 r Żołobowski Dominik Michał - syn siostry Magdaleny Jaworskiej,

w 2001 r Borowa Kinga Sylwia - córka siostry Barbary,

w 2008 r Borowy Krzysztof Szymon - syn siostry Barbary.

O sobie napisałem, ale wypadałoby teraz napisać kilka słów jak potoczyły się po maturze dalsze losy koleżanek i kolegów. Po ukończeniu liceum rozjechaliśmy się w różne strony przede wszystkim na egzaminy wstępne i w zasadzie straciliśmy ze sobą kontakt, poza niektórymi osobami mieszkającymi w Szczytnie, które miały okazję spotykać się w przerwach semestralnych. W tym czasie, z tego co pamiętam, miałem okazję sporadycznie spotykać się z Elą Galczenko, Elą Żebrowską, Lilką Celmer, Hipolitem Bębenkiem, a pod koniec studiów i te kontakty urwały się, poza Elą Galczenko (po ślubie Ulatowska).

Ela po maturze ukończyła Akademię Medyczną w Białymstoku, przez kilka lat pracowała w Przychodni w Szczytnie. W wakacje, z żoną i córkami przyjeżdżałem do Szczytna, a jak wiadomo dzieci na wyjazdach „lubią” chorować, wówczas Ela leczyła moje córki. W jej mieszkaniu moja starsza córka zaczęła sama chodzić. Byłem również ojcem chrzestnym jej syna Jaśka. Po kilku latach pracy w Szczytnie Państwo Ulatowscy przenieśli się do Ciechanowa, ponieważ Janusz, mąż Elżbiety, objął tam jedno z kierowniczych stanowisk w Wojewódzkim Biurze Geodezji (Ciechanów był w latach 1975-1998 miastem wojewódzkim). Wtedy kontakt z Nimi straciłem, że walczy ze śmiertelną chorobą dowiedziałem się telefonicznie od niej samej, a następnie syna, który studiował w Gdańsku. Natomiast co robiła w Ciechanowie, dowiedziałem się dopiero niedawno po przeczytaniu wspomnień o Eli napisanych przez pana Stefana Żagła dziennikarza Tygodnika Ciechanowskiego i zamieszczonych w numerze 5 TC w 2008 roku. Przypadkowo znalazła je w internecie siostra Marysi Żebrowskiej, a przysłała mi je Elżbieta Żebrowska. Z tymi wspomnieniami można zapoznać się na portalu *Absolwenci Liceum*.

W 2008 roku, a może nawet wcześniej, w sprawę odszukania nas a następnie pozbierania mocno zaangażowała się Elżbieta Żebrowska. Dzięki jej inicjatywie i Basi Mosdorf doszło do niezapomnianych spotkań w domku Basi w Nartach pod Szczytnem w latach 2008, 2009 i 2011r. W 2011r spotkanie odbyło się z różnych przyczyn w okrojonym składzie, ale za to w dwu częściach. Pierwsza część miała miejsce u Basi w Nartach, a druga jak widać na zdjęciu w Załączniku u Heni w Rucianem. Gościnność Basi i Heni jak i atmosfera spotkań długo zostaną nam w pamięci, a nawiązane kontakty, co prawda w bardzo skromnym zakresie, utrzymane są do dzisiaj. W spotkaniach tych (alfabetycznie) brali udział: Czesia Drząszcz, Stefan Jaworski, Henia Kardaś – gospodyni spotkania w Rucianem, Henia Łachacz, Paweł Łużecki, Ela Mikosik, Basia Mosdorf - właścicielka domku JAGA i organizatorka spotkań, Danuta Prusik, Wiesiek Tomala, Ala Wiśniewska, Ela Żebrowska - inicjatorka spotkania. Niektóre zdjęcia ze spotkań jak również z okresu nauki

w liceum zamieściłem w Galerii.

Jestem w kropce ponieważ, w tym miejscu chciałem napisać w telegraficznym skrócie kilka słów o losach po maturze niektórych osób z obu klas. W trakcie pisania wspomnień, aby uniknąć niezręczności, pomyłek i niedomówień, zwróciłem się do osób, których miałem e-mailowe adresy, aby przekazały mi krótkie informacje o sobie i pewne (nie plotki) o koleżankach/kolegach, ponieważ wypadaloby, aby pamięć po osobach tych pozostała.

Na moją prośbę zareagował tylko Hipolit Bębenek(z klasy angielskiej):

- Hipolit studiował na Politechnice Warszawskiej, a następnie maszyny spożywcze w Moskwie, prowadzi firmę w tej samej branży, mieszka w Warszawie.

Przekazał również kilka słów o koleżankach i kolegach ze swojej klasy, a mianowicie:

Tadeusz Nowakowski /pseudonim pędzel/ - nie żyje – Hipolit siedział z nim w jednej ławce, chyba przez 1 rok, ale po maturze nie utrzymywali kontaktu, zmarł około 1989-90r, jest pochowany razem z rodzicami na cmentarzu w Szczytnie. Prawdopodobnie kończył matematykę na Uniwersytecie w Toruniu i uczył w Szczytnie,

Ciechanowicz Edward - kiedyś mieszkał w Szczycionku koło Szczytna i pracował w Szczytnie, nie ma z nim kontaktu, wg informacji kol. Łużeckiego major Wojska Polskiego,

Kłodzińska Elżbieta - studiowała rusycystykę na Uniwersytecie Warszawskim, prawdopodobnie mieszka w Szczytnie. Po maturze widział ją z dwa razy,

Stańczuk Stanisława/Składzińska - studiowała polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, obroniła doktorat, mieszka w Gostyninie.

Wypadało mi więc również, dla uzupełnienia, napisać choć kilka słów o osobach, z którymi miałem bezpośredni kontakt w trakcie spotkań u Basi w Nartach, a mianowicie:

Drząszcz Czesława/Łojewska - ukończyła Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Olsztynie, mieszka w Szczytnie, Kardaś Magdalena Henryka/Niedospał - ukończyła Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Olsztynie, Kierunek Bibliotekarstwo i informacja, pracowała w szkolnictwie, publikowała w literaturze fachowej, mieszka w Rucianem,

Łachacz Jadwiga/Kolb - pracowała i mieszka w Szczytnie,

Łużecki Paweł - studiował na Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi, a następnie w Wyższej Szkole Rolniczej w Olsztynie, pracował pod Szczytnem i w Gdańsku mieszka w Gdańsku,

Małkiewicz Helena – ukończyła Akademię Medyczną w Białymstoku, pracuje i mieszka w Jednorozcu, co prawda nie była na naszych spotkaniach u Basi, ale te skąpe informacje o Niej mam od Eli Galczenko i koleżanki z Akademickiego Klubu Tańca Towarzyskiego PG z Gdańska, która mówiła mi, że na pierwszym roku w Białymstoku z Nią studiowała,

Mikosik Elżbieta Zofia/Kaliciak – pracowała i mieszka w Bielsko Białej,

Mosdorf Barbara/Łuszyńska - dusza towarzystwa, niezapomniane spotkania u Niej w Jadze w Nartach w latach 2008, 2009, 2011, pracowała i mieszka w Olsztynie,

Prusik Danuta/Wasiak – mieszka w Szpital Górny,

Wiśniewska Alicja - mieszka w Warszawie,

Żebrowska Cecylia Elżbieta - ukończyła Wydział Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, Studia Podyplomowe na UŁ w Łodzi, Uniwersytet Trzeciego Wieku, pracowała zawodowo w Siedlcach i Ostrołęce, gdzie mieszka i działa do dzisiaj, dużo czasu poświęciła w odszukaniu nas i pozbieraniu do tzw kupy.

Starałem się podać informacje w miarę moich możliwości obiektywne, jeśli nie przepraszam. Są na pewno niekompletne, ale mam nadzieję, że zmobilizują koleżanki/kolegów do napisania coś więcej o sobie.

Nie żyją:

Galczenko Elżbieta Barbara,

Gieryk Aldona Teresa,

Helman Witold,

Krzyżanowska Alina,

Małsz Teresa,

Mierzejewska Janina,

Nowakowski Tadeusz,

Przylepa Ewa.

Wypowiedź moja jest na pewno dość subiektywna i inne osoby z klasy obracając się w innych kręgach odbierały ten okres z pewnością inaczej, dlatego namawiam osoby czytające ten tekst do współpracy i uzupełnienia go, jak już wspomniałem wyżej, o informacje o sobie i koleżankach/kolegach, albo aby zmobilizowały się i napisały własne szersze wspomnienia z tego okresu.

Musimy się śpieszyć bo czas ucieka, a statystycznie (mężczyźni) wg pobożnych życzeń niektórych

urzędów nie powinni już dłużej obciążać budżetu i znaleźć się po drugiej stronie - mam jednak nadzieję, że jeszcze się trochę nie damy. Jednocześnie dziękuję za współpracę Eli Żebrowskiej, Heni Kardaś/Niedospał, Hipolitowi Bębenkowi, Stasi Stańczuk/Składzińskiej za miłe uwagi i korektę tekstu oraz za pozytywną ocenę wspomnień koledze Kazimierzowi Gryko. Panu Stefanowi Żagłowi - emerytowanemu dziennikarzowi Tygodnika Ciechanowskiego za miłe i ciepłe wspomnienia o Elżbiecie Galczenko-Ulatowskiej i o zezwolenie na umieszczenie ich na portalu szkoły. Na koniec dziękuję osobom, które spotkałem na Zjeździe z okazji 70-lecia LO, a nie związanym z naszą klasą, za składane mi gratulacje za napisane wspomnienia, podziękowania za pamięć o niektórych osobach, przekazane mi sugestie i informacje.

P.S.

W czerwcu 2015 roku, tym razem z inicjatywy Dyrekcji szkoły spotkaliśmy się na Zjeździe z okazji 70-tej rocznicy powstania LO w Szczytnie. Była to również nasza rocznica ponieważ większość z nas uczniów ostatniej klasy łacińskiej liceum i siostrzanej angielskiej urodziła się w roku 1945. Plamę dali organizatorzy, jak również plamę daliśmy my ponieważ ktoś z nas mógł wystąpić i o tym wspomnieć. Usprawiedliwić może nas tylko to, że po siedemdziesiątce ma się już jednak mniejszy refleks. Co do organizatorów to wywiązali się doskonale ze swego zadania i należą Im się wysokie słowa uznania ponieważ nie licząc zaproszonych gości zapanowanie nad prawie 600 osobową liczbą uczestników było nie lada wyzwaniem. Trochę nie wypalił drugi dzień ponieważ towarzystwo się rozproszyło. Część osób dzięki uprzejmości dyrekcji Gimnazjum, za co należą się słowa podziękowania, cofnęła się do przeszłości i poszła zwiedzać budynek na Kasprowicza, część wyjechała, część odsypiała bal i zamknięcie Zjazdu było dość skromne. Jak wróciłem z kol. Gryko z Kasprowicza do nowej szkoły przy Pani dyrektor zastaliśmy tylko kilka osób z którymi praktycznie zamykaliśmy Zjazd. Jeśli cokolwiek mogę zasugerować mając doświadczenie w organizacji w ubiegłych latach kilku konferencji naukowych i sympozjów akwarystycznych - to aby w przyszłości była to jednodniowa zwarta impreza z oficjalnym wyraźnym zamknięciem części oficjalnej w tym samym dniu (np. przed zdjęciem zbiorowym), na którym mogliby się pożegnać ze sobą wszyscy uczestnicy - z dodatkowymi jak obecnie imprezami towarzyszącymi po południu tego samego dnia lub w dniu następnym, jak: zwiedzanie budynku na Kasprowicza, wizyta na cmentarzu, bal uczestników itp. Piszę o tym ponieważ usłyszałem zarzut, co jest również naszą winą, że towarzystwo rozproszyło się i rozjechało się bez pożegnania.

Wracając jeszcze do szkoły na Kasprowicza to słabo zrobiło mi się gdy zobaczyłem co ówczesne „władze miasta” zrobiły z wizytówką Szczytna - wieżą ciśnień. Architekt musiał być naprawdę *super wysokich lotów* aby takie szkaradztwo wymyślić, a decydenci szczególnie Wydziału Budownictwa i Nadzoru Budowlanego oraz Miejski Konserwator Zabytków *jeszcze wyższych*, że do tego dopuścili, a tłumaczenie się, że obecnie z tym fantem nie można nic zrobić tym bardziej świadczy o *ich kompletnej indolencji*. Może bym tego tematu nie poruszał, ale dla przyjezdnych wizerunek miasta został tym posunięciem kompletnie zdewastowany, a nie jest to tylko moja opinia. W zasadzie powinno być to mi zupełnie obojętne ponieważ z miastem nie jestem związany już od przeszło 50-lat, ale gdy osoby wracające przez Szczytno z żagli na jeziorach mazurskich z wizerunku miasta zapamiętują tylko jedno - koszmarek w postaci wieży ciśnień – jest mi po prostu wstyd i sprawy wolę już dalej nie komentować.

Wracając do naszej klasy – *również najlepszej w Szkole* – na Zjazd przybyli żelaźni uczestnicy poprzednich spotkań, a mianowicie alfabetycznie: Kardaś Magdalena Henryka/Niedospał, Łachacz Jadwiga/Kolb, Łużecki Paweł, Małkiewicz Helena, Mosdorf Barbara/Łuszyńska, Prusik Danuta/Wasiak, Stanisława Stańczuk/Składzińska, Żebrowska Cecylia Elżbieta, a z osób trzymających się z nami Kazimierz Gryko, Aleksandra Orsicz/Kostrz i oczywiście autor opracowania Stefan Jaworski. Przebiegu Zjazdu nie komentuję ponieważ został w profesjonalny, interesujący sposób zaprezentowany i opisany na portalu szkoły. Dla przypomnienia zamieszczam tylko kilka zdjęć *naszej klasy* w Załączniku. Należy mieć tylko nadzieję, że nie był to dla nas Zjazd ostatni i ze względu na nasz wiek na przekór niektórym dożyjemy do następnego.

ZAAŁACZNIK - Galeria ze zdjęciami.

W Galerii starałem się umieścić zdjęcia dokumentujące epizody opisane w tekście.

Stefan Jaworski
ul. Dworcowa 52
83-331 Przyjaźń,
e-mail: akwajawor@wp.pl

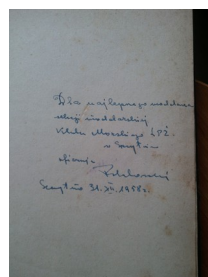
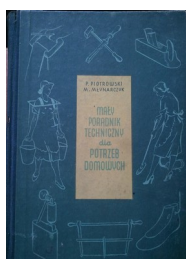
Przyjaźń k/Gdańska, 2015r

ZAŁĄCZNIK

Galeria ze zdjęciami.



Rodzinny dom w Szczytnie na ul. Bolesława Chrobrego 8, z prawej strony ulica 3 Maja prowadząca w kierunku domu Krzysztofa Klenczona



Dedykacja Pana Polakowskiego na książkę, którą od niego otrzymałem „Dla najlepszego modelarza sekcji modelarskiej Klubu Morskiego LPŻ w Szczytnie ofiaruje Polakowski” - dowód, że z oficjalnym modelarstwem w Szczytnie coś miałem wspólnego, 31 grudzień 1958 roku.



Przygotowane modele na wystawę do Olsztyna, po środku niszczyciel Grom, a na dole jeszcze dwa moje modele: po lewej lodołamacz Lenin, po prawej statek handlowy, rok 1960



Siedzi: wychowawca Albin Budzyński

W rzędach od lewej:

I rzqd: ... ?, Ela Żebrowska, Jagoda Łachacz, Hela Małkiewicz, Ala Kurpiewska, Maria Żebrowska, Romka Bartosiewicz, Krysia Wróbel, Aldona Gieryk,

II rzqd: Ala Wiśniewska, Ala Ciesielska, Ela Mikosik, Czesia Drząszcz, Ewa Przylepa, Renata Ciesielska, Janka Mierzejewska.

III rzqd: Ania Stodulska, Lila Celmer, Ela Galczenko, Marian Otap, Zofia Tyberska, ... ?.

IV rzqd: Basia Kisiel, Henia Kardaś, Ania Bojko, Wiesiek Tomala, Halina Beszta.

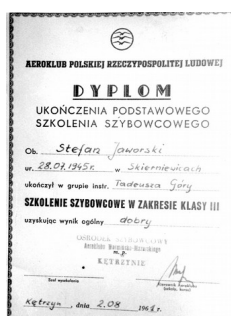
V rzqd: Basia Mosdorf, Ala Krzyżanowska, Jagoda Grabowska, Ewa Furmańczyk, ... ?, Marianna Kacprzyńska, ... ? Renia Bałdyga.

Najwyżej: po lewej Stefan Jaworski, a po prawej.....?.

Klasa VIII łacińska, rok szkolny 1959/1960



Klasa IX łacińska, rok szkolny 1960/1961?



Dokument ten trzymam jak relikw z względu na nazwisko instruktora Tadeusza Góry



Klasa X łacińska, rok szkolny 1961/1962



Wycieczka z Liceum do Gdańska i Gdyni



Klasa XI łacińska, rok szkolny 1962/1963



Wręczenie świadectw maturalnych przez dyrektora Mazura, rok 1963



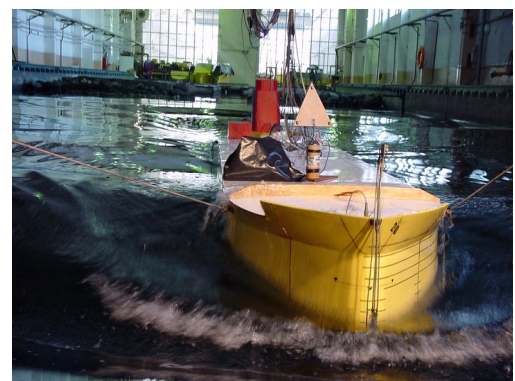
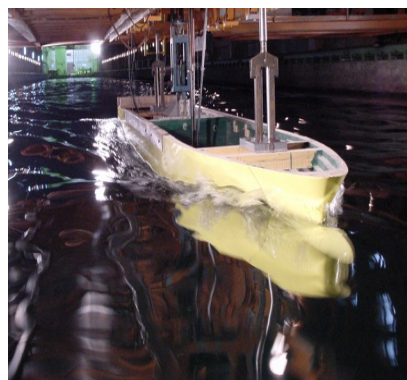
Imieniny Eli Galczenko w przerwie semestralnej, pośrodku po prawej Ela



Pierwsze niezdarne próby w turnieju tańca towarzyskiego, po prawej koleżanka Iza, która studiowała na pierwszym roku razem z Elą Galczenko i Helą Małkiewicz w Akademii Medycznej w Białymstoku, następne lata studiów spędziła już w Gdańsku.



Semestr dyplomowy w Leningradzie(obecnie Petersburg), po lewej fontanny w Peterhof, po prawej, jak widać na tablicy, zdjęcie przed Radą Najwyższą Związku Radzieckiego w Moskwie, pośrodku w okularach, kolega Kazimierz Gryko – zdawał maturę w naszym Liceum rok wcześniej



Tak bawiłem się w pracy - od lewej: badania kawitacyjne śruby okrętowej w tunelu kawitacyjnym, próby na basenie modelu statku na wodzie spokojnej, badania właściwości morskich na fali



Spotkanie w Nartach w 2008r



Spotkanie w Nartach w 2009r



Spotkanie w Nartach w 2011r w niepełnym składzie, na pierwszym planie osoby nie związane z klasą, moja córka Agnieszka, wnuczka Paulinka z babcią, pośrodku wiadomo Basia Mosdorf i Ela Żebrowska



Spotkanie u Heni Kardaś/Niedospał, w 2011r, Ruciane, jako druga część spotkania w Nartach



Zjazd z okazji 70-lecia LO w Szczytnie, prezentacja szkoły



Nowa szkoła – nasze spotkanie w jednej z klas



Poczęstunek w szkole – z wyrazami uznania dla szkoły gastronomicznej



Spotkanie towarzyskie po części oficjalnej Zjazdu, dla przypomnienia od lewej siedzą: Kazimierz Gryko, Stanisława Stańczuk/Składzińska, Kardaś Magdalena Henryka/Niedospał, Prusik Danuta/Wasiak, Żebrowska Cecylia Elzbieta, stoją: Paweł Łużecki, Aleksandra Orsicz/Kostrz, Łachacz Jadwiga/Kolb, Stefan Jaworski i Mosdorf Barbara/Łuszyńska



Na balu, ogólny widok sali i koleżanki przy stole



W historycznej i zabytkowej jedwabnej auli szkoły na Kasprowiczu



Widok ogólny korytarza



W naszej klasie na piętrze i w klasie „fizycznej”



Emerytura: opieka nad ogrodem, akwariem i wnukami, a w wolnej chwili modelarstwo - na półce *Mayflower* żaglowiec na którym pierwsi osadnicy angielscy dotarli do Ameryki(1620r), obok na ścianie model szybowca *Czapla* na którym latałem.